

Fragment książki

Agnieszka Cabała

Życie codzienne powstańczej Warszawy



STEN POD PACHĄ, BIMBER
W SZKLANCE, DZIEWCZYNA
I... WARSZAWA

BELLONA

Słowo wstępne

„Powstanie jest czynem samym w sobie i sztucznych legend nie potrzebuje” – to słowa por. Zbigniewa Blichewicza „Szczerby”, jednego z legendarnych dowódców Powstania na Starym Mieście. Zdanie to posłużyło autorce pracy jako motto przy poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak wyglądało życie codzienne podczas Powstania Warszawskiego.

Do spojrzenia na to niezwykle wielowymiarowe wydarzenie z trochę innej perspektywy zachęcają pytania stawiane dziś przez pokolenia wnuków i prawnuków powstańców, a także uważna lektura bardziej odważnych wspomnień uczestników i świadków walki stolicy. Powstanie Warszawskie najczęściej kojarzone jest z walką o wolność, suwerenność i niepodległość, ale także z wielką tragedią i martyrologią narodu polskiego. Jeśli jednak przyjrzymy się trochę bliżej różnorodnym aspektom tego zrywu, zamiast marmurowych posągów zobaczymy twarze młodych ludzi, którzy musieli zmierzyć się z niezwykle trudną rzeczywistością. Chcieli jednak przeżyć dany im czas najpełniej, jak to tylko możliwe. Ludzi, dla których priorytetem była walka i realizacja powierzonego im zadania. Ludzi, którzy, trwając na swych stanowiskach, zastanawiali się, czy wystarczy im amunicji, by odeprzeć następny atak, czy uda się dostarczyć meldunek, przechodząc przez teren opanowany już całkowicie przez wroga. Ludzi, którzy szukali odpowiedzi na pytanie, jak żyć dalej po śmierci najbliższej osoby, stracie domu rodzinnego i dezaktualizacji wszystkich dotychczasowych wartości.

Myśląc o Powstaniu Warszawskim, bardzo często zapominamy, że za barykadą istniało także zwyczajne życie. Trzeba było zjeść jakiś posiłek, zapewnić zmęczonemu organizmowi chociaż kilka godzin snu, zdobyć wodę do picia, załatwić naturalne potrzeby fizjologiczne, odwiedzić w szpitalu rannego przyjaciela, pomodlić się na grobie syna, napisać krótki list do rodziców przebywających w całkiem innej dzielnicy.

Najważniejsze i kluczowe było zawsze to, by mieć broń i utrzymać obsadzone stanowiska. Jednak poza tym młodzi ludzie chcieli wyglądać bojowo w swoich panterkach i kombinezonach z biało-czerwoną opaską, podobać się dziewczętom lub nie przynieść wstydu „swoim chłopcom”. W nielicznych wolnych chwilach powstańcy prowadzili ciekawe rozmowy, czytali prasę, żartowali, śmiali się i kochali – nie zawsze tylko platonicznie. Bali się bezradności i osamotnienia, musieli jakoś odreagować stres i pokonać strach. Opowiadali więc sobie kawały, oglądali w kinie

Palladium kroniki nakręcone podczas walki, słuchali koncertów, spotykali się przy zbożowej kawie w gospodzie żołnierskiej pezetek lub też wieczorem – na kwaterach u dziewcząt. Śpiewali piosenki, a nawet czasami tańczyli – gdy znalazł się w pobliżu patefon lub ktoś zagrał na harmonijce ustnej czy grzebieniu. Bo młodość ma swoje prawa, a przecież największą grupę uczestników Powstania stanowili ludzie w wieku 16–25 lat... Oczywiście za swoje „niestosowne zachowanie” musieli również wielokrotnie wysłuchać ostrej reprimendy i zarzutów, że nie szanują powagi sytuacji, majestatu śmierci, a na dodatek niepotrzebnie drażnią Niemców...

Dla wielu osób zderzenie się z otaczającą rzeczywistością było niezwykle ciężkim przeżyciem. Nietrudno więc sobie wyobrazić, że pojawiły się też pierwsze załamania psychiczne. A te z kolei prowadziły do nadużyć, błędów i wypaczeń: nadmiernego spożycia alkoholu, braku dyscypliny, dezercji, rabunków czy też, w wyjątkowych, skrajnych przypadkach, nawet morderstw, samosądów, gwałtów.

Patrząc na Powstanie Warszawskie poprzez różnorodne aspekty życia codziennego, poznając okoliczności towarzyszące podejmowaniu trudnych decyzji, widząc rozterki dowódców, szeregowych żołnierzy i ludności cywilnej, łatwiej zrozumieć, że było to wydarzenie niezwykle wielowymiarowe. Że historia nigdy nie jest czarno-biała, a składa się, tak jak i ludzkie życie, z tysięcy odcieni szarości. Że na trudne pytania rzadko znajduje się proste i jednoznaczne odpowiedzi. (...)

Jedzenie

(...) Najbardziej charakterystycznym dla Powstania posiłkiem, który pojawiał się we wszystkich dzielnicach, była tzw. zupa-pluj, znana także jako plujka, pluja czy też pluj-kasza, przygotowywana z nieoczyszczonych mielonych ziaren pszenicy, owsa lub jęczmienia. Zboże pochodziło najczęściej ze zdobytych magazynów, głównie z browaru Haberbuscha i Schielego, ale także np. ze szkoły przy ul. Woronicza, magazynów RGO czy też ze zrzutów radzieckich. Plujkę jedzono na słodko: z cukrem, sokami owocowymi lub marmoladą, a także na słono: z dodatkiem mięsa ze zdobytych konserw, koniny czy też z gulaszem lub potrawką z konia, psa lub kota. Józefa Radzyńska „Mieczysława” z batalionu „Iwo” tak określiła to danie: „Jest to zupa ze zbożowego ziarna, jedząc je, trzeba ustawicznie wypluwać plewy czy łuski. Wkrótce przestajemy wypluwać,

połykamy plewy i łuski, byle więcej, byle oszukać puste żołądki”. Włodzimierz Markowski z batalionu „Kiliński” stwierdził, że choć plujka była podła, dało się ją jakoś zjeść, tyle że „nie można było się wolno do tego zabierać, bo jak się wolno jadło, to już nie dało rady”. Ciekawe ujęcie tematu przedstawił również Lech Hałko „Cyganiewicz”, który opisał, jak z ostrymi elementami zupy poradzili sobie niektórzy powstańcy – wymyślili specjalną zabawę: trafianie (plucie) łuską do celu.

Warto wspomnieć także o innych nietypowych, a nawet wręcz szokujących potrawach, komponowanych z tego, co akurat znaleziono, zdobyto lub „upolowano”. Jak stwierdził Jan Kalkowski:

Powstańcze menu – to prawdziwy szczyt pomysłowości. Nie byłem wówczas jeszcze tak bardzo zainteresowany gotowaniem, by notować przepisy do książki kucharskiej pod tytułem „100 potraw z niczego”. Były takie różne zupki albo kluski, których rozbiór na czynniki pierwsze mógł oszołomić pomysłowością, choć czasem też odebrać apetyt.

Do dań tego typu można zaliczyć np. zupę z rozgotowanej kaszy z dużą ilością drobnych, pływających w niej gąsieniczek, kotlety mielone z kota, rosół z gołębia, gulasz i zupę z koziej głowy, psią wątrobę, kluski z dyni, suszone skórki chleba z cebulą, owomaltinę* z miodem i sokiem pomarańczowym, kakao ssane z cukrem, kaszę pęczak z konfiturami używanymi do dekoracji tortów u Gajewskiego (pomarańcze lub ananasy smażone w cukrze)... Niezwykłą potrawę stanowił także „mel”: „mąkę rzucało się na wodę – cudownie jak mogła być gorąca – do tego trochę powideł, a wyjątkowo jakichś konserw i już był »mel« – nasza stała potrawa”. Pomysłowość konieczną przy przygotowywaniu posiłków w czasie Powstania idealnie podsumowała jedna z harcerek, Danuta Cichocka „Anielka”: „Gotuję z niczego, co się da”.

Niekiedy, zwłaszcza mniej doświadczonym kulinarnie powstańcom, przydarzały się i przykre niespodzianki – znaleziona mąka nie chciała się lepić, ponieważ okazywała się bielidłem lub pudrem kosmetycznym; zdarzało się, że cały pluton zachorował po zjedzeniu placków usmażonych na parafinie lub esencji perfum, którą wzięto za olej.

Niezwykle ciekawe są także wspomnienia dotyczące najbardziej drażliwego tematu, czyli mięsa. Wprawdzie powstańcom udawało się zdobyć w magazynach kilka świń, krów i kur, jednak najczęściej pochodzenie tego cennego, odżywczego składnika diety, było... mniej typowe. Napi-

* Owomaltina (właśc. Ovomaltine) – napój czekoladowy o wysokich wartościach energetycznych i zdrowotnych.

sała o tym m.in. łączniczka batalionu „Iwo”, Józefa Radzymińska „Mieczysława”:

Bo czegoż to się nie jadło! Zjełczałe resztki tłuszczu, spleśniałą kaszę, otręby. Co prawda parę dni temu poczęstowano mnie pieczenią; było to najwspanialsze mięso, jakie kiedykolwiek jadłam, szkoda tylko, że kapral Czarny przyznał się, że pieczeń pochodziła z pewnego bezdomnego pieska. Już łatwiej strawiłabym mięso kota, ale zbyt wielką sympatią darzę psy, bym je miała jeść, nawet wśród najgorszego głodu; od tej psiej pieczeni zaczęła się moja choroba.

Jak wspomina Bolesław Biega „Pałak” z batalionu „Kiliński”, gdy trafiło się jakieś mięso, to wiadomo było, że najprawdopodobniej pochodzi z konia, psa lub kota. Jednak podkreślił: „Myśmy się nie pytali, z czego to jest. Nie chcieliśmy się pytać. To było mięso”.

Kwestię zdobywania jedzenia podsumował dość dosadnie Andrzej Lięga „Cowboj”:

W poszukiwaniu urozmaicenia jadłospisu rozpoczęły się polowania. Z braku grubej zwierzyny ofiarą padły wszystkie okoliczne psy i koty. Utalentowanym rzeźnikiem okazał się „Frycek”. Pamiętam wspaniały smak potrawy z kota z kaszą pluj. Do dziś chlubię się tym, że nie poniżyłem się jeszcze jedzeniem szczurów. (...)

Wygląd i strój

(...) Większość powstańców przystąpiła do walki w strojach cywilnych – sportowych kurtkach, długich marynarkach, koszulach. Tylko nieliczni zadawali szyku polskim, przedwojennym mundurem. Dlatego dla większości żołnierzy o przynależności do armii świadczyły jedynie orzełek przyczepiony do cywilnej czapki i biało-czerwona opaska na rękę. Symbole te odgrywały więc niesamowitą rolę i miały dla słabo uzbrojonych powstańców ogromne znaczenie psychologiczne. Odwołanie do tej kwestii odnajdujemy w bardzo wielu relacjach. Wspomina o tym także Józefa Radzymińska „Mieczysława” – łączniczka z batalionu „Iwo”:

Mam powstańczy mundur: furażerkę z orzełkiem i biało-czerwoną opaskę na rękawie. Mundur ten bardzo mnie rozczula. Gdy zakładałam go po raz pierwszy, nie mogłam powstrzymać łez. Wydało mi się, że tak wspaniałego munduru nie nosili nawet ułani księcia Józefa. Jest doprawdy niezwykły urok w noszeniu biało-czerwonej opaski, nigdy bym nie

uwierzyła, ile siły dają te dwie barwy; mimo woli zaczynam rozumieć wszystkich dawnych powstańców, którzy w tej wspaniałej irracjonalności imponderabiliów znajdowali wiarę i siłę.

Zdobycie niemieckich magazynów z żywnością i umundurowaniem, znajdujących się przy ul. Stawki 4–6, a także szkoły przy ul. Rybaki 32 sprawiło, że powstańcy staromiejscy w końcu otrzymali swoje upragnione stroje o charakterze militarnym. Niemieckie „panterki” (nazywane przez niektórych również „łaciatkami”), a także „tygryski” (kurtki posiadające dodatkowe naszytka maskujące) stały się obiektem pożądania większości walczących, ponieważ upodabniały powstańców do typowego wojska, przy okazji ułatwiając ukrycie się przed wrogiem. Co ciekawe, nowe stroje zostały bardzo dokładnie opisane, nawet przez mężczyzn, nieprzykładających na co dzień aż tak wielkiej uwagi do ubioru. Juliusz Bogdan Deczkowski „Laudański” z batalionu „Zośka” napisał:

Ubrani byliśmy wszyscy jednakowo: na głowach niemieckie hełmy, z ochronnymi brezentowymi pokrowcami, z tego samego materiału panterki, cętkowane zieloną i brązową farbą, niemieckie buty, niemieckie spodnie. Pasy główne z esesmanowskimi szelkami, przy których wisiały manierki z czerwonym winem, jajowate, pomalowane na niebiesko, granaty ręczne. Niektórzy mieli niemieckie granaty trzonkowe wetknięte za pas. Każdy miał przytroczoną celtę na wypadek deszczu. A najważniejsze – świeżo zdobytą broń niemiecką. (...)

(...) Niemieckie „panterki” i „tygryski” budziły wśród kolegów ze Śródmieścia powszechny zachwyt i ogromną zazdrość. Zygmunt Kukiela, fotoreporter powstańczy z tej dzielnicy, podkreślał, że każdy chciał mieć taką bluzę, ponieważ była „w cenie”, no i wyglądało się w niej bojowo. Wspomina o tym także nastoletni wówczas harcerz Jerzy Świdorski, który przeszedł kanałami do Śródmieścia ze Starówki: „Wszyscy znajomi oglądają z podziwem mą »tygryskę«, szelki szturmowe, spodnie ze stemplem AK i beret czołgisty niemieckiego, ale z polskim orzełkiem. Oni tu w Śródmieściu nie mają takich pięknych mundurów. Noszenie »tygrysek« – to nasz przywilej – chłopców ze Starówki”. Sanitariuszka Anna Jakubowska „Paulinka” z batalionu „Zośka” podsumowała ten temat następująco: „To był dopiero sznyt! Chodziłyśmy w tych panterkach i czułyśmy, że jesteśmy naznaczonymi akowcami”. (...)

(...) W zasadzie dopiero podczas Powstania, ze względu na wygodę, a czasem także konieczność, wiele warszawianek po raz pierwszy założyło ten dotychczas raczej męski element garderoby. Jak wspomina Zofia Kozłowska „Grażyna” z Pułku „Basztą”, kobiety wcześniej nie zakładały spodni, bo taki ubiór – wówczas niezwykle, przyciągałby powszechną uwagę: „dopiero podczas Powstania niektóre z nas (nieliczne) w razie konieczności (np. przy zejściu do kanałów) wkładały tę część garderoby”. Opinię tę potwierdziło wiele uczestniczek Powstania. Jak podkreśliła jedna z sanitariuszek, większość dziewcząt była zachwycona takim rozwiązaniem i natychmiast niezwykle polubiła nowy strój. Co przesądziło o ich sukcesie? „Wygoda, estetyka i nikt pod spódnicę nie zagląda”. (...)

Miłość powstańcza

(...) Miłość w Powstaniu Warszawskim to jednak nie tylko śluby. To także oczarowanie, zauroczenie, niewinne flirty, małe dramaty, odkrywanie pierwszych intymnych doznań, seks, który miał dać namiastkę bliskości, stać się ucieczką przed samotnością lub ostatnią chwilą przyjemności przed śmiercią. Miłość w Powstaniu to także ochrona ukochanej osoby przed wiadomością o tym, jak bardzo się cierpi w wyniku doznanych ran. To pozostanie przy umierającym w dzielnicy opuszczonej już przez powstańców i opanowanej przez Niemców lub jeszcze gorszych niż oni – żołnierzy z brygady Dirlewangera. To codzienna troska o to, by najbliższa osoba miała lepszą kwaterę, ciepły sweter, pelerynę przeciwdeszczową, wygodne buty, pudełko świec. To próba wpłynięcia na to, by ukochana sanitariuszka nie poszła na niebezpieczną akcję. To także dzielenie się ostatnią kroplą wody i kawałkiem suchara. W ostatecznych przypadkach: również szukanie śmierci po stracie najbliższej osoby.

Zauroczenia i oczarowania przystojnym kolegą lub ładną dziewczyną to rzecz naturalna, także podczas Powstania. Sytuacjom takim sprzyjał młody wiek walczących, stałe wspólne przebywanie na linii frontu i na kwaterach, a także nastrój chwili – pełen bohaterskich czynów, odwagi, poświęcenia, pogardy dla śmierci, ale także i samotności, smutku oraz strachu. To wszystko sprzyjało zawiązywaniu się pierwszych nici sympatii, fascynacji i głębszych uczuć. W zasadzie prawie każdy uczestnik walk miał w Powstaniu swoją sympatię.

Maciej Kledzik tak pisał o dziewczętach z reduty Królewska:

Prawie każda z nich miała swojego chłopca lub o niego rywalizowała. Sanitariuszce „Marysi”, zwanej pieśczośliwie przez rannych Pulpecikiem, wszystko leciało z rąk, gdy pojawił się obok „Doktor Olgierd”. „Grzymała” godzinami przesiadywała u porucznika „Romańskiego”, „Nina” była cieniem porucznika „Jadźki”, „Zyta” miała romans z podchorążym „Wojdą”, „Din-Don” śpiewał ballady miłosne „Siódemce”, a „Emka” kochała się z wzajemnością w podchorążym „Jacku” (jedna z najmłodszych, kilkunastoletnia łączniczka „Hanka Barska” nie mogła zrozumieć, jak można całować się w usta aż do krwi). Najładniejsza z nich, „Grażyna”, była nieosiągalnym przedmiotem marzeń i westchnień wielu powstańców nie tylko z 9. kompanii. Gdy któregoś dnia zaczął ją porucznik „Romański”, odpowiedziała mu w obecności kilku żołnierzy: „Musiałby pan być młodszy o 30 lat i jeszcze bym się zastanowiła”. Chodziła w bryczesach i oficerkach, miała czas na kręcenie papilotów na blond włosach i pięknie tańczyła na barłogu, służącym za posłanie, przy muzyce wygrywanej na grzebieniach.

Aktorka Alina Janowska „Alina” z batalionu „Kiliński” również z sentymentem wspominała tamte chwile: „W czasie Powstania był chłopak, który mi się bardzo podobał. Kiedyś poszedł pochować kolegów, którzy zginęli, i właśnie wtedy dostał kulkę. Przeszedł przez dziurę i odsłonił się na strzał ze strony dworca. Bardzo fajny był facet...” (...)

(...) Ideowe wychowanie i oparte na nim podejście do życia klóciło się jednak coraz częściej z realiami, które przynosiła otaczająca rzeczywistość. Rodziło się zwątpienie, a wraz z nim pojawiała się myśl, że „głupio jest umierać, kiedy się nic nie przeżyło. [...] Nic się nie zaczęło, a już trzeba kończyć. Każdemu chciałoby się naprędce zrobić coś z tego wielkiego życia”. Refleksje takie potęgowało jeszcze wszechobecne poczucie pustki, samotności, bezradności i wielkie pragnienie miłości. Codzienne spotkania ze śmiercią przynosiły kolejne pytania i odpowiedzi. Z takich myśli rodziły się pierwsze kontakty seksualne – czasami oparte na decyzjach dość przypadkowych, spontanicznych, nie zawsze trafnych. (...)

Humor powstańczy

(...) To, jak ogromne znaczenie miał dla powstańców humor, śmiech, żart i wspólne chwile zabawy, można zauważyć, czytając uważnie wspomnienia większości uczestników wydarzeń, a także prowadząc z nimi nieformalne rozmowy na tematy związane z życiem codziennym. Gdzieś na marginesie innych wątków pojawiają się informacje o koledze, który opowiadał świetnie kawały, więc otoczony był zawsze grupką roześmianych dziewcząt; o łączniczce, która rozbawiała zmęczonych po wypadzie chłopców śpiewaniem piosenek; o oddziałowym poecie, piszącym złośliwe pamflety, z których śmiała się cała drużyna – najczęściej łącznie z „bohaterem utworu”; o dowódcy, który w najtrudniejszych momentach lubił rzucić „grubym żartem”; o lekarzu, który opowiadał zabawne historyjki, dzięki czemu łatwiej było znieść ciężki zabieg bez znieczulenia, czy też o małych urwisach, zawsze skorych do płatania Niemcom najprzeróżniejszych figli.

„Niech Pani napisze, że dużo się wtedy śmialiśmy i że to było dla nas bardzo ważne!” – to słowa wielu uczestników Powstania, które warto z pewnością powtórzyć.

Niezwykle zabawne historie powstańcze można również poznać, czytając przywoływaną już niezwykłą, choć bardzo mało znaną publikację *Uśmiech na barykadzie*. Na uwagę zasługuje również książka *Satyra w konspiracji 1939–1944*. Trudno się jednak zgodzić ze zdaniem Andrzeja Ryszkiewicza, który w jej wstępie napisał, że: „Okres Powstania Warszawskiego nie sprzyjał twórczości satyrycznej. Były to raczej dni patosu bohaterstwa niż zgryźliwego czy pogodnego uśmiechu”.

To właśnie ten uśmiech (rozumiany tak jako „błada wesołość”, jak i „radość z całego serca”, jak pisze Halina Cieszkowska „Alika”) oraz warszawskie poczucie humoru pozwalały powstańcom choćby na krótki moment zapomnieć o trudnej, wręcz tragicznej rzeczywistości, rozładować emocje, odreagować stres, zmniejszyć napięcie, nabrać dystansu do siebie i swoich przeżyć, a także poczuć się po prostu szczęśliwszym i... wolnym.

Pomimo tego, że z dnia na dzień było coraz mniej powodów do śmiechu, żart warszawski rozkwitał w walczącym mieście. Można nawet powiedzieć, że był on wręcz niezbędnym elementem życia. W jednym z wywiadów aktorka Danuta Szaflarska „Młynarzówna” stwierdziła: „Pomagał nam humor. [...] w czasie powstania, czekając w długiej kolejce po wodę,

siadaliśmy na grobach – bo wszędzie były groby – i opowiadaliśmy dowcipy. W sytuacji zagrożenia człowiek po prostu broni się, by nie oszaleć”.

Jak napisała Halina Cieszkowska „Alika”:

Wśród wzniosłych uniesień i przeżyć tych pierwszych dni sierpniowych młodość i tradycyjne warszawskie poczucie humoru skłaniały nas jeszcze do żartów, które dziś wydawać się mogą nawet nieestosowne. Wtedy jednak nie myśleliśmy o bohaterstwie ani o umieraniu, bo mieliśmy tylko „naście” lat. Stąd też zapewne brały się w nas owe figle płatane Niemcom, tu i ówdzie pojawiające się we wspomnieniach uczestników Powstania... Ot jak na przykład metalowe beczki po jakichś farbach puszczane przez powstańców w dół ulicy Mariensztat, które swym rumorem wystraszyły Niemców mniemających, że to nowa, nieznaną im broń. Często też preparowano ze szmat kukły podobne do Hitlera, które – wysuwane na kijku spoza barykady w miejscach szczególnego zagrożenia – przyjmowały na siebie pierwsze niemieckie uderzenia. Takie działania służyły pokrzepianiu serc.

Niesłuchanie ważne było wówczas to, by się nie poddawać, nie załamywać, czy jak mawiali sami powstańcy, „trzymać fason”, a właśnie śmiech bywa w takich momentach niezwykle pomocną bronią. Wspomniała o tym łączniczka kanałowa Teresa Wilska „Czarna Bożena”.

Przejście przez staromiejski powstańczy szpital wprowadziło ją pewnego razu w nastrój wielkiego przygnębienia. Jednak w sali obok zobaczyła chłopców i dziewczyny w panterkach, siedzących przy prowizorycznym stole, jedzących zupę, żartujących.

Pamiętam, że usiłowałam nie pokazać po sobie, jakie wrażenie zrobił na mnie ten szpital, i dostosować się do panującej tu żartobliwej atmosfery. Dlaczego? Nie wiem. Może dlatego, że wypadało trzymać fason, a może po prostu instynktownie wiedzieliśmy, że nie wolno się rozklejać, trzeba się śmiać, nawet, gdy nie ma już sił. Inaczej można się było załamać. (...)

Spis treści

Słowo wstępne	
Życie codzienne powstańczej Warszawy	
Jedzenie	
Woda i studnie	
Higiena i urządzenia sanitarne	
Wygląd i strój	
Kwatery powstańcze i życie w schronach	
Samopomoc i opieka społeczna	
Wygląd miasta	
Łączność i kanały	
Służba medyczna	
Spotkania ze śmiercią	
Zbrodnie niemieckie na ludności cywilnej i powstańcach	
Walka powstańcza – katalog najbardziej charakterystycznych zjawisk	
Uzbrojenie powstańców	
Obcokrajowcy	
Życie religijne	
Miłość powstańcza	
Kobiety	
Dzieci	
Humor powstańczy	
Piosenki i wiersze, zabawa, „czas wolny”	
Media powstańczej Warszawy	
Sztuka i ochrona dóbr kultury	
Alkohol i inne zagrożenia porządku oraz bezpieczeństwa publicznego	
Zamiast zakończenia – „nauki” wyniesione z Powstania Warszawskiego	
Bibliografia	
Indeks	

Powstanie Warszawskie sztucznych legend nie potrzebuje – to słowa, które posłużyły autorce pracy za motto przy poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak wyglądało życie codzienne w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Rezultat? Książka niezwykła, pełna dramatów, wzruszeń, ale i humoru. Oparta na rzetelnych źródłach, gruntownej analizie tematu, licznych rozmowach i spotkaniach z powstańcami.

Zagłębiając się w lekturę, widzimy z bliskiej perspektywy twarze warszawiaków – zarówno tych walczących na pierwszej linii, jak i tych, którzy po prostu próbowali przetrwać. Poznajemy ludzi, którzy – na przekór wszystkiemu – starali się przeżyć dane im dni jak najpełniej. Priorytetem zawsze była walka. Żołnierz marzył, by mieć „stena pod pachą” i choć kilka granatów. Każdego dnia obawiał się, czy strzela wystarczająco celnie i celowo, czy wystarczy mu amunicji, by odeprzeć następny atak nieprzyjaciela.

Ale tuż za barykadą toczyło się barwne, intensywne życie. Powstańcze posiłki, kwatery, strój, chwile beztroskiej zabawy, pierwsze miłości, ale i traumatyczne przeżycia oraz ich konsekwencje – to świat, do którego poznania zaprasza autorka.



Agnieszka Cabała – z zawodu i zamiłowania marketingowiec, z zainteresowania – pasjonatka historii Powstania Warszawskiego. Swoją przygodę z tematem rozpoczęła podczas studiów na warszawskiej SGH, pisząc pod kierownictwem naukowym prof. dr. hab. Wojciecha Roszkowskiego pracę magisterską poświęconą Powstaniu. Na jej kanwie wydała książkę *Ku wolności... Międzynarodowe, polityczne i psychologiczno-socjologiczne aspekty Powstania Warszawskiego*. Pracowała w Muzeum Powstania Warszawskiego, zajmując się przede wszystkim koordynacją prac nad realizacją ekspozycji stałej, uczestnictwem w projektach naukowo-wydawniczych oraz przygotowaniem wystaw czasowych. Opracowała hasła autorskie do *Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego*, była też konsultantką historyczną dwóch rozdziałów książki Normana Daviesa *Powstanie '44*.

patronat medialny

